**TESTAMENT**

**Niewiele wiemy o Ludwiku. Nasze dzieciństwo i naszego ciotecznego rodzeństwa, upływało w cieniu modlitw, weschnień i łez babci Stanisławy Południk, która ciągle go wspominała i modliła się za niego. Wiedzieliśmy tyle, że był zdolny, „uczył się na księdza” i zginął w Niemczech „na robotach”. Nawet dwadzieścia kilka lat po wojnie, dzieci starano się nie wtajemniczać w jej okrucieństwa.**

Nie było zdjęć, nie było dokumentów, ciotki wspominały tylko o wiklinowym, wielkim kufrze na strychu starego domu, z religijnymi książkami i zeszytami zapisanymi pięknym, równym pismem.

- Nigdy w życiu potem nie widziałam już tak pięknego pisma. Zaglądałam do tego kufra i szafki z książkami w rogu pokoju, ale mama zawsze mówiła: Nie ruszaj! To Ludwika! - wspominała jedna z ciotek – Tak, jakby babcia wciąż wierzyła, że on kiedyś jeszcze może wrócić.

Z wiklinowego kufra ocalały tylko słowniki polsko-łaciński i polsko-francuski, które pamiętam z dzieciństwa. Zaczynałam już czytać i byłam zdziwiona, że część rozumiem, a obok napisane jest coś, czego nie potrafię odczytać. Co to jest? - pytałam. To książki po Ludwiku - powiedziała babcia i znów zamilkła ze łzą w oku. To jak było pytać? Potem okazało się, że to były moje pierwsze słowniki w czasach niedoborów książek na rynku.

Kiedy dorosłam, babcia mnie prosiła, żebym odnalazła jakieś informacje o Ludwiku. To nie były jeszcze czasy internetu.

- Babciu, a gdzie on był w tych Niemczech? Ja nie wiem – padała odpowiedź. A gdzie się uczył? Nie pamiętam już, ale ja tobie powiem... i tu nastała chwila ciszy. Ludwik, on, Panie Bracie, miał być misjonarzem! - powiedziała z dumą i naciskiem. Często wtrącała w zdanie „Panie Bracie” - te podlaskie zaścianki... I znów milczała zamyślona, przebierając paciorki różańca. To gdzie było szukać? Zapomniałam, zajęta karierą i swoimi sprawami.

Minęło wiele lat. Mój ojciec, Stanisław, ciężko chory, przed decydującą operacją mózgu, rozmawiał ze mną w szpitalu. Wiedziałam, że rozmowa ma charakter testamentu. Wiesz, jakby przyszło do tego.., to ja chcę być wtedy sam – zaczął. Wiedziałam, że chce mi oszczędzić widoku swojej śmierci. Milczałam. Powiedział jeszcze kilka zdań. I pamiętaj o Ludwiku – dodał na koniec. Byłam pewna, że to nie jest już tylko jego testament, że musiał to kilkanaście lat wcześniej usłyszeć od babci, kiedy on był w takiej sytuacji jak ja. Wtedy on stał przy łóżku swojej odchodzącej matki, a mojej babci. Musiała mu to powiedzieć, a on teraz przekazuje to mnie.

- Dobrze tato. Wszystko będzie dobrze – powtarzałam. Wiedziałam, że nie chodzi mu o żaden pomnik. Im obojgu chodziło o to, by pamiętać. By Ludwik nie zniknął z listy rodzinnych „Wypominków” w listopadzie.

Kilka tygodni później, gdy wracaliśmy z Warszawy, pełni nadziei, po udanej operacji, nie nawiązałam już do tamtej rozmowy, ale zapytałam o Ludwika. I wtedy ten człowiek dla mnie ożył. Tata go nie pamiętał. Był małym chłopcem, kiedy Ludwik wyjechał do seminarium. Ale potoczyła się rodzinna opowieść, jak przyjechał na urlop i jechali z babcią ze Stasiówki na Żuławę przez las, konnym wozem i babcia nagle zaczęła rodzić. Urodziła na tym wozie jedną z ciotek, a Ludwik, który odebrał poród, został jej ojcem chrzestnym. A jak on zginął, nie wiesz? - pytałam. Wiedział. Po raz pierwszy usłyszałam przejmującą opowieść o śmierci Ludwika, która mnie poruszyła do głębi. Musiałam szybko opanować łzy, by widzieć drogę za kierownicą.

Wtedy postanowiłam, że muszę tę historię udokumentować. Przecież ON żył, był zdolny, mógł być kimś ważnym w życiu wielu ludzi. Był młodym, ponoć wyjątkowo przystojnym, inteligentym, pełnym życia człowiekiem. Miał plany i marzenia wykraczające poza dążenia młodych ludzi na przedwojennej wsi. Chciał być misjonarzem. Zginął mając niewiele ponad dwadzieścia lat. Nie znamy nawet daty jego śmierci i nikt za chwilę nie będzie wiedział, że ktoś taki istniał... Tak zrodził się pomysł Jego upamiętnienia.

Dziękuję księdzu prałatwi Janowi Gogłozie z Wisznic, za bezcenną pomoc w penetrowaniu archiwalnych ksiąg parafialnych w Huszczy i rozmowach z najstarszymi mieszkańcami tej parafii.

Dziękuję księdzu proboszczowi w Żeszczynce, Robertowi Bartosikowi za wsparcie i cenne rady.

Dziękuję Biuru Informacji i Poszukiwań Polskiego Czerwonego Krzyża, które potraktowało moją prośbę priorytetowo. Z nadzieją liczę jeszcze na Instytut Pamięci Narodowej.

Dziękuję dawnym sąsiadom moich dziadków w Stasiówce - Panu Albinowi Najdyhorowi ze Stasiówki i jego małżonce Pani Danucie Najdyhor. To dzięki ich życzliwości i pamięci Pana Albina, udało się odtworzyć ważne epizody z życia Ludwika.

Dziękuję mojej rodzinie , ciociom i licznemu gronu ciotecznego rodzeństwa, za to że zaakceptowali i wsparli pomysł upamiętnienia Ludwika, na miejscu pochówku w Żeszczynce jego babci, a naszej prababci Katarzyny Lewczuk, obok grobu naszych dziadków. Mam nadzieję, że osoba Ludwika pomoże kolejnym pokoleniom w podtrzymywaniu rodzinnych więzi.

Gdybym miała możliwość rozmowy z babcią, powiedziałabym jej: Babciu, odnalazłam Ci Ludwika. Ma już grób. Obok Ciebie.

**BYŁ TAKI CZŁOWIEK....**

Ludwik Lewczuk urodził się 16 kwietnia 1921 roku, w Stasiówce w parafii Huszcza. Jego rodzicami byli Jan Lewczuk i Anastazja z domu Prudaczuk, która pochodziła z Przechoda.

Został ochrzczony 23 kwietnia 1921 r. w kościele w Huszczy przez księdza proboszcza Antoniego Przystupę.

Po śmierci ojca - Jana, Ludwika wychowywała rodzina ze strony ojca, głównie siostra Jana Lewczuka - Stanisława Południk, z domu Lewczuk.

Najstarsi mieszkańcy wsi Stasiówka, którzy pamiętają Ludwika, lub pamiętają ludzi z nim obcujących, zawsze mówili o nim z dużą dozą emocji. Z ich słów wynikało, że cechowała go nieprzeciętna inteligencja i przymioty etyczne.

- O, Ludwik! Ach jak wszyscy go żałowali. Mój brat się z nim przyjaźnił. Całe życie wspominał i żałował. Tylko Ludwik i Ludwik. O, to był naprawdę człowiek! - wspomina Pani Katarzyna Bożyk, z domu Kurowska, urodzona w Stasiówce.

Pan Albin Najdyhor ze Stasiówki, rocznik 1929, pamięta jak Ludwik przyjeżdżał z seminarium do Stasiówki. W mundurku z lampasami przy spodniach i w pięknej czapce z okrągłym, błyszczącym daszkiem.

- On się bardzo dobrze uczył. Był najmądrzejszy w szkole ze wszystkich w okolicy. W nauce to nikt nie mógł z nim konkurować – podkreśla. Opowiada też, że jego dziadek Jakub, dawał czasem Ludwikowi, jako dziecku, 20 groszy. Chłopiec mógł nimi dysponować swobodnie. Ludwik jednak w kościele w Huszczy nabywał za te pieniądze książeczki pt. „Prawda Boża” i czytał je najstarszym ludziom we wsi, którzy nie mieli już siły chodzić do kościoła. Potem zszywano te broszury w grube tomy, które przechowywano w domu.

Ludwik zaraz po ukończeniu szkoły podstawowej w Huszczy wyjechał. Najprawdopodobniej do prowadzonego przez Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej gimnazjum, zwanego Niższym Seminarium Duchownym, wg relacji najstarszych mieszkańców Stasiówki - do Lublińca niedaleko Częstochowy. Seminarium zostało zlikwidowane przez komunistyczne władze w 1952 roku, nie zachowały w nim się niestety dokumenty dotyczące Ludwika. (Oblaci dysponują jedynie dokumentami Czesława Najdyhora, kuzyna Ludwika, który wg relacji, zaczął naukę w Lublińcu rok, lub dwa po Ludwiku).

Lubliniec - oddalony od Podlasia o setki kilometrów - jako miejsce kształcenia Ludwika jest dość zaskakujący. Tym bardziej, że jego rodzina była uboga. Południkowie mieli siedmioro własnych dzieci, nie było więc ich raczej stać na posyłanie Ludwika do szkół. Być może któryś z miejscowych księży, doceniając jego zdolności i osobowość, pokierował jego losem? A może jego babcia Katarzyna Lewczuk, z Najdyhorów, wygospodarowała jakieś resztki rodzinnych dóbr? To pozostanie już chyba tajemnicą.

Niższe Seminaria Duchowne były szkołami prowadzonymi przez kościół rzymskokatolicki, ich celem była formacja młodych ludzi w duchu katolickim, „głównie w celu budzenia lub kształtowania nowych powołań zakonnych” (Ks. Józef Kiedos, Zakonne Niższe Seminaria Duchowne na terenie diecezji katowickiej w latach międzywojennych, w: Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne, XIX-XX (1986-87)

„Już sama nazwa szkoły wskazywała na kształcenie przyszłych kapłanów, którzy po ukończeniu szkoły średniej mieli podjąć wyższe studia teologiczne. Lubliniecki juniorat cieszył się dużą popularnością. W latach 1931-1937 liczba juniorów wahała się między 220, a 280 osób. Założenia o przyjęciu do Małego Seminarium oraz deklarowane przez kandydatów powołanie kapłańskie (do pierwszej klasy przyjmowano chłopców w wieku 12-16 lat) nie mogły być zrealizowane stuprocentowo. Jak wyliczono w latach 1920-1939 w trzech placówkach oblackich: przyjęto do junioratu 1240 chłopców, z czego 340 wstąpiło przynajmniej do nowicjatu Zgromadzenia.(<http://www.encyklo.pl/index.php?title=Ma%C5%82e_Seminarium_Duchowne_Ojc%C3%B3w_Oblat%C3%B3w_w_Lubli%C5%84cu>).

**Stanisława Południk modląc się za Ludwika, mówiła: Ludwik miał być misjonarzem.**

Po wybuchu wojny szkoła została zamknięta i Ludwik Lewczuk wrócił na wieś. Został wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec. Wg relacji był „wytypowany” do wyjazdu przez sołtysa. Razem z nim przebywał, najprawdopodobniej w tej samej okolicy w Niemczech, nieżyjący już Franciszek Petkiewicz ze wsi Kopytnik. Po wojnie wrócił on do Polski i opowiedział Stanisławie Południk o okolicznościach śmierci Ludwika. Znamienne jest to, że Niemcy odesłali na adres rodziny w Stasiówce pozostałe po Ludwiku ubrania. Doprawdy, zadziwiająca w tych okolicznościach, rzetelność i skrupulatność. W dokumentach gestapo, Ludwik podawał prawdziwe imię matki – Anastazja i fałszywe nazwisko (Radecka – tak potocznie określało się w rodzinie Południków: „Radeccy” , bo dziadek pochodził z Radcza) oraz fałszywe miejsce zamieszkania – Choroszczynka. Czy podając te fałszywe dane chciał chronić rodzinę w Polsce? Czy Chroszczynka zastąpiła Żeszczynkę?

Ludwik pracował w młynie (Valentinsmuhle), w dolinie rzeki, w Weida w Turyngii.

Zeulenroda, Weida, Buchenwald, Weimar – te miejscowości, oddalone od siebie o ok 30 – 40 km, przewijają się w niemieckich dokumentach z ostatnich miesięcy życia Ludwika. Właściciel młyna nazywał się Leonhard Barth.

Gestapo aresztowało Ludwika 19 stycznia 1942 r. w Weida, po sprzeczce „z szefem z powodu pracy”. Tak widnieje w gestapowskich dokumentach. Wiadomo, że aresztowano robotników z byle powodu, nawet za odmowę niemieckiego pozdrowienia. Ludwik był przecież świadomym, wykształconym człowiekiem. Zdawał sobie sprawę ze swojej sytuacji i położenia. Musiało stać się coś, na tyle nieludzkiego, przeciwko czemu musiał zaprotestować. Dlatego na tablicy z pełnym przekonaniem umieściliśmy napis: „Za obronę godności Człowieka”.

Ludwik został osadzony w Arbeitserziehungslager KL Buchenwald 5 lutego 1942 r. Dostał numer obozowy 2074. Jego dokumenty obozowe sporządzał numer 4879. (Czyżby zadziałał słynny, opracowany w Buchenwaldzie system kapo?) Karne obozy dla robotników przymusowych, Arbeitserziehungslager (<https://de.wikipedia.org/wiki/Arbeitserziehungslager>) istniały przy sześciu obozach koncentracyjnych – m.in. w Buchnwaldzie i Auschwitz. „Arbeitserziehungslager (czyli karny obóz pracy dla robotników przymusowych), jest uważany za bardziej bezwzględny niż „zwykły” obóz koncentracyjny. Pierwotnie służył dyscyplinowaniu robotników przymusowych z Polski, innych krajów. Różnił się od obozu tym, że robotnicy byli tam osadzani na pewien czas, potem mogli być zwolnieni, o ile przeżyli tortury fizyczne i psychiczne, którym byli poddawani. Od 1942 roku mężczyźni i kobiety byli osadzani w nich bez procesu. Podstawą do zatrzymania były np: nieusprawiedliwiona nieobecność w pracy (brak zaświadczenia lekarskiego), odmowa „niemieckiego pozdrowienia”, spóźnienie, słuchanie stacji radiowych wroga, dowcipy na temat nazistowskiego państwa lub kontakty z innymi robotnikami przymusowymi, a czasem zwykła nieżyczliwość i donos pracodawcy. Tylko niewielka część torturowanych tam fizycznie i psychicznie więźnów przeżywała. Ale jeśli przeżyli, mogli wyjść z powrotem do pracy. Ludwik przeżył. Został zwolniony z Buchenwaldu 27. 02 1942 r „do Weimaru”, czyli można przypuszczać, że do nowego miejsca pracy.

Nie wiadomo co się potem z nim działo. Wiadomo, że zginął.

W rodzinnych przekazach istnieją dwie wersje relacji o jego śmierci: Ludwik Lewczuk wraz z grupą polskich robotników został zaproszony przez francuskojęzycznych robotników przymusowych na spotkanie i występował tam w roli tłumacza (znał język francuski z Niższego Seminarium Duchownego, zachowały się jego słowniki). Może Francuzi konspirowali z Polakami? Według innej narracji, Ludwik wziął udział w zwykłym spotkaniu z innymi robotnikami, które były surowo przez Niemców zakazane.

Zawiadomiona o spotkaniu robotników przymusowych policja niemiecka- Gestapo otoczyło wieczorem posesję, gdzie odbywało się to spotkanie. Użyto psów policyjnych, robotnicy zaczęli uciekać. Ludwik wyskoczył oknem (być może zdawał sobie sprawę, że może znów trafić do Buchenwaldu, z którego udało mu się wyjść) uciekając, w nocy spadł do przepaści (wg innej relacji do wykopaliska, rozpadliny skalnej, „wykopów”). Zachował się przekaz, opowiedziany babci, że Ludwik, pozostawiony w tej „przepaści”, konał w męczarniach przez półtorej doby, a jego jęki i wołanie o pomoc słychać było w okolicy w promieniu około kilometra. Nie wiemy czy jego ciało zostało kiedykolwiek pogrzebane.